

Po wyborach. Między wygodą, a zasadami jest miejsce na nasz krzyżyk

9 lipca 2010

Wybieramy wciąż emocjami. I wybieramy władzę zamiast urzędników. Czy to się kiedyś zmieni?

WŁADCA CZY URZĘDNIK?

W telewizji po kilka razy dziennie pojawia się Marek Kondrat z różnymi bajeczkami. Wszystkie kończą się stwierdzeniem: „A morał tej powiastki jest ... i niektórym znany. To tylko mamy za darmo – co zrobimy sami”. Kondrat opowiada swoją bajeczkę od dwóch lub trzech miesięcy, ale ja kojarzę ją ze wszystkimi wyborami. Wybieramy prezydenta, parlamentarzystów i samorządowców. Wszystkich po to, żeby coś za nas zrobili. Samorządowcy mają za nas myśleć o sprawach lokalnych, edukacji, drogach, czy planie przestrzennego zagospodarowania miasta. Parlamentarzyści mają za nas artykułować w postaci ustaw nasze pragnienia, by żyć w państwie dobrze rządzonym i sprawiedliwym (cokolwiek by to ostatnie miało oznaczać). Prezydent ma nas reprezentować i wspierać, a czasami hamować (veto) działania parlamentarzystów.

Nie słyszałem by ktoś o tych ludziach mówił per urzędnicy. To władcy. My wybieramy władze. W większości przypadków nadajemy jej również rozmaite immunitety, aby byle motłoch wiedział przed kim ma zginać kark.

SKĄD TOTO MAMY? BO LUDZIE LUBIĄ BYĆ RZĄDZENI

Nie jest to nasza specjalność. Tak postępuje co najmniej połowa ludzkości. No i tu pierwsze pytanie. Czy te parę miliardów ludzi rzeczywiście potrzebuje władców?

Kiedy Monteskiusz formułował swoje poglądy na władzę ludzie z upodobaniem zabijali się wzajemnie głosząc przy tym rozmaite wzniosłe idee. Aby lepiej krzewienie tych idei i owo zabijanie (zawsze dla jakiegoś dobra, rzecz jasna) zorganizować rzeczywiście potrzebny był władca. Człowiek, który potrafił ludzi do boju zachęcić, zorganizować im życie, czy wreszcie powiedzieć kogo powiesić, a kogo tylko wsadzić do więzienia.

Generalnie władza nie tylko za poddanego myślała, ale również wymuszała na nim odpowiednie, tzn. „dobre” i „sprawiedliwe” postępowanie. Wymienione pojęcia dobra i sprawiedliwości rozumiane były prawie zawsze lokalnie. Czasami bardzo lokalnie; to co było dobre dla Niemca nie było na ogół dobre dla Francuza czy Polaka i odwrotnie. Jeśli nawet wspomniany Niemiec czy Polak o tym wiedział, to bywał zwykle tak matołowaty, że nie potrafił zebrać się we właściwą kupę i – na ogół zbrojnie – tę sprawiedliwość zaprowadzić. To musiała zrobić władza.

Lud na władzę narzekał, że go na śmierć posyła, ale czuł na ogół potrzebę jej istnienia. Jeśli Jaś, Hans czy Jean chciał komuś dać w mordę, a nie wiedział dokładnie komu, to wsłuchiwał się uważnie w wypowiedzi osób mądrzejszych, najlepiej władców, i czasami nawet kumał na kim to ma nadmiar energii wyładować. I taki jest z grubsza biorąc sens istnienia władzy.

CZY I KOMU SZKODZI RZĄDZENIE?

Można oczywiście próbować polemizować z tak wyartykułowanymi funkcjami władzy, ale na końcu zawsze pojawia się pytanie o to, w którym miejscu władza realizuje wolę ludu, a przynajmniej działa dla jego dobra, a kiedy dba o swój własny tyłek i jego wygody. I jak uczy historia najczęściej okazuje się, że te ostatnie są ważniejsze od dobra ludu.

O tym, że władza demoralizuje pisano od wieków. A od co najmniej kilkudziesięciu lat opinie te zostają systematycznie

potwierdzone przez różnego rodzaju badania. Najbardziej chyba znane to powtórzony niedawno w telewizji francuskiej eksperyment Milgrama, gdzie – samym tylko „autorytetem” – wymuszano na ludziach zupełnie bezsensowne dręczenie bliźnich, a drugi to tzw. Eksperyment Stanfordzki, gdzie część studentów wcieliła się w rolę więźniów, a część w rolę strażników.

Autor tego ostatniego, Philippe Zimbardo, kontynuował badania demoralizacji przez władzę przez wiele lat. W księgarniach od kilku miesięcy można kupić jego książkę „Efekt Lucyfera”, gdzie opisuje rozmaite, z życia wzięte, egzemplifikacje założeń eksperymentu stanfordzkiego. Skutek jest zawsze ten sam.

CZY JEST NA TO RADA?

Można oczywiście powiedzieć, że nowoczesna demokracja wypracowała mechanizmy obrony społeczeństwa przed nadużywaniem uprawnień przez wybrane przez to społeczeństwo władze. Mamy przecież wolne media, Internet, czy rozmaite instytucje krajowe i międzynarodowe patrzące władzy na ręce i reagujące na przekraczanie przez naszych władców ich konstytucyjnych uprawnień. Mamy. I co z tego?

Obywatel ani swoich uprawnień nie zna, ani nie jest w stanie przewidzieć konsekwencji podejmowanych przez władzę działań. Najczęściej ma za mało informacji, a przede wszystkim nie ma ochoty myśleć. Wybrał swą władzę po to właśnie, by myślała za niego, tak aby było dobrze, tzn. aby obywatel miał co żreć, mógł w spokoju oglądać „M jak miłość”, „Kiepskich” lub „Daleko od noszy”. Żeby mógł sadzić, że jak władza coś zawali, to z jednej strony znajdzie się ktoś sprawiedliwy kto winnych ukarze, a z drugiej że za cztery lata on (obywatel”) powie tej władzy basta i wybierze sobie innych władców. I tenże obywatel nie będzie się zastanawiał skąd wziąć tych sprawiedliwych którzy dla jego (obywatela) dobra zaryzykują swój stołek, a czasami i głowę. Nie pomyśli też o tym, że do władzy tak, jak na przykład do dobrego wina, można się przyzwyczaić i

pokombinować co by tu zrobić, by obywatel władcy nie odwołał. Przeciętny obywatel nie pomyśli też o tym, że współczesna technika daje władzy takie możliwości kontrolowania społeczeństwa i jego obywateli o jakich Orwell nawet nie pomyślał. A władza zadba już o to by dać obywatelowi i chleb i wciąż nowe seriale. Wbrew temu co często się mówi, jest to coraz bardziej realne.

Ze świata niedoborów coraz szybciej przechodzimy do świata nadmiaru. Na pewno jednak nie do nadmiaru wolności. Bo jedną z konsekwencji rozwoju nauki i techniki jest to, iż władza coraz lepiej swych poddanych, nazywanych dziś dla jaj obywatelami, kontroluje. I nic tego nie zmieni.

Obywatel wybiera nie konkretnego człowieka, a jego obraz wygenerowany przez media czy rozmaite powołane do tego instytucje (np. te wytwarzające przeróżne „odczucia społeczne”). Demokracja ma zresztą mnóstwo różnych ograniczeń i już starożytni Grecy uważali, że są to rządy hien nad osłami. A warto pamiętać, że obywatel Aten miał większe szanse dowiedzieć się jaki naprawdę jest kandydat do władzy niż obywatel RP. Ateny były po prostu znacznie mniejsze niż współczesna Polska. Warto też pamiętać, że demokracja grecka padła. A przeróżne późniejsze próby jej reaktywacji w Rzymie (konsulowie czy senat) też raczej nie wypaliły. W tamtych czasach kończyło się to zwykle objęciem władzy przez jednego człowieka.

Dziś w jego miejsce wchodzi na ogół jakaś grupa ludzi. Niekiedy przez wiele lat tych samych ludzi (pod różnymi sztandarami, a bywa, że i bez widocznych oznakowań). Ludzi, którzy mówią nam co dobre, co złe, kogo usunąć i przed kim na twarz padać. Taki „dyktator wieloosobowy”. A przecież w dzisiejszym świecie, gdzie wojny mają zupełnie inny niż za Monteskiusza charakter, przeciętny obywatel bardziej potrzebuje sprawnych urzędników niż prowadzących go do boju władców.

Wydawać by się więc mogło lud, że zamiast dzielić ciężar sprawowania władzy ze wspomnianymi wyżej swymi reprezentantami władzę dźwigać będzie sam. Powoła tylko odwoływalnych w każdym momencie urzędników, którzy – jak wszyscy urzędnicy – instytucją pt. Państwo będą tylko sprawnie zarządzać. Tak do końca, to nikomu się jeszcze nic takiego nie udało, ale tacy np. Szwajcarzy mają demokrację bezpośrednią. Bajkę Kondrata częściowo więc jednak realizują.

POLSKA TO NIE SZWAJCARIA, ALE...

W Polsce zrobić się tego dokładnie tak jak w Szwajcarii chyba nie da. I nie tylko dlatego, że nie mieliśmy ani Gesslera, ani Wilhelma Tella. Nie mieliśmy więc takich jak Helweci zrywów ludowych. Powstań jest w naszej historii sporo, ale ich charakter był nieco inny. Inne są warunki geopolityczne i inne wygenerowały one tradycje. Trochę inne mamy więc zapotrzebowania na władzę.

Ja nie potrafię tego jasno opisać, ale wydaje mi się, że udział szeroko rozumianych tzw. potrzeb duchowych jest wśród wszystkich potrzeb Polaków znacznie większy niż u Szwajcarów. Są to potrzeby obiektywne. Można powiedzieć *primo vivere*, tzn. najpierw żyć.

Tak się jednak składa, że w naturze na ogół szukać trzeba kompromisu między wieloma dobrze określonymi, lecz za to razem nieosiągalnymi stanami. I na ogół dobrego rozwiązania nie ma. Przykładów jest mnóstwo. Od zasady Heisenberga (niemożliwość wyznaczenia dwóch parametrów charakteryzujących cząstkę elementarną) w fizyce, przez twierdzenie Goedla (że nie da się stworzyć „dobrej” teorii matematycznej), aż po twierdzenie Tarskiego o niedefiniowalności prawdy (że w używanym przez nas języku nie da się zdefiniować pojęcia prawdy). Wydaje się, że podobną sytuację mamy w przypadku dwóch ważnych dla społeczeństwa i jego obywateli spraw.

Wspomnianej wyżej chęci życia w dobrze zarządzanym (nie

rzządzonym, a właśnie zarządzanym) przez urzędników państwie, a tak zwanymi wartościami. Teoretycznie, to owe wartości określają rozmaite etosy (pomysły na życie), których przestrzeganie prowadzi właśnie do polepszenia komfortu bytowania.

Jak to naprawdę wygląda, każdy widzi. Ja wśród naszych elit wartości już nie szukam (kiedyś szukałem) i nie oczekuję, że wśród tzw. porządných spotkam bogaczy (tego nie nigdy oczekiwałem). Tak całkiem proste, to to nie jest, ale wygląda na to, że nie da się ani w skali mikro (obywatela), ani makro (społeczeństwa) równocześnie maksymalizować obu tych wartości. Polega to z grubsza mówiąc na tym, że polepszanie komfortu życia wymaga na ogół zgody na rozmaite dziwne (by nie powiedzieć zgniłe) kompromisy, które na ogół polegają na rezygnacji z przynajmniej części, deklarowanych jako ważne, wartości. Zamieniamy więc uczciwość na forszę, honor na wygodę, a tzw. zasady moralne na mniej lub bardziej wymierne przyjemności. Całkowicie uniknąć tego nie można. Jednostka czy grupa, która całkowicie zrezygnowałaby z wszystkich zasad zginie. Choćby dlatego, że w niektórych sytuacjach nie potrafi podjąć żadnej decyzji (bo do tego potrzebne są właśnie zasady).

Z drugiej strony bezwzględne trzymanie się jakichś zasad prowadzi na ogół również do unicestwienia takiej jednostki lub grupy ludzi. W zależności od punktu widzenia nazywa się ich wtedy świętymi lub bohaterami (gdy są to „nasi”) lub bandziorami, degeneratami czy innymi wyrzutkami społeczeństwa (gdy są obcymi). Typowe przykłady to święci czy – z nowszych czasów – rozmaici bohaterowie wojenni. Dobre przykłady tych ostatnich to żołnierze Waffen SS lub japońscy Kamikaze. W Polsce za bohaterów raczej nie są uznawani.

To, w którym punkcie przestrzeni pomiędzy chęcią dobrego życia, a uznawanymi wartościami zdecydujemy się postawić nasz własny krzyżyk opisuje nie tylko nas jako człowieka, lecz również nasze relacje ze społeczeństwem. Ja nie mam odwagi

oceniania gdzie inni ludzie krzyżyk taki powinni postawić. Sam mam coraz częściej wiele wątpliwości czy powinien to być jeden dobrze określony punkt czy, być może, jakiś zbiór możliwości. Bardzo często boję się, że postawię mój krzyżyk w niewłaściwym miejscu. I chciałbym mieć możliwość naprawienia błędu. Może warto popytać Szwajcarów jak to zagwarantować?

Nie jesteśmy Szwajcarami, więc żywcem zrzynać się nie da, ale może da się przejąć zarówno trochę umiłowania wygody jak i przywiązania do zasad. Nie godzić, nie dzielić, a zacząć po prostu myśleć. Myśleć o Polsce, czyli o nas samych.

Autor: Waldemar Korczyński

Źródło: [iThink](#)